

L. de Laëre.

## Tajemnica „Czerwonego Stawu“.

Tłumaczyła z francuskiego Marya S.

10

(Ciąg dalszy).

— Niech się pan uspokoi. To był zwykły przypadek. Nikt panu zarzucić nic nie może, bo wypełniłeś swój obowiązek gorliwie i sumiennie. Widziałeś się pan już z dyrektorem policji?

— Tak jest. Nie czynił mi żadnych wymówek, choć widziałem, że miał ochotę.

— Policja potrzebuje pana, panie Jaime, co świadczy o zdolnościach pana i sprycie. Jednakowoż, gdyby depesza, wysłana przez pana, nadeszła dziesięć minut później, byłoby już zapóźno. Pan wie, wiele to czasu i trudu u nas potrzeba, by zrehabilitować niewinnie zasądzonego.

— To prawda, ale nie mogłem wcześniej tego uczynić, bo niewiedziałem nawet, że w dniu tym sprawa Gibier ma być ostatecznie rozpatrywana. Dopiero przypadek dowiedziałem się o tem z dziennika. Ale pan sędzia wierzy teraz w niewinność oskarżonego, nieprawdaż?

— O tak, z całym przekonaniem. Przyznaję, że dałem się zwieść potępiającym okolicznościom, a przytem byłem silnie poruszony śmiercią tej biednej Julki de Trèves i pragnąłem gorąco pomścić ją jaknajprędzej. Zamierzam jednak jeszcze oskarżonego poddać ostatecznej, decydującej próbie. Przekonaliśmy się bowiem naocznie w tej tajemniczej sprawie, jak bardzo należy być ostrożnym. Każę natychmiast wprowadzić tutaj oskarżonego Gibier i skonfrontujemy go z tym porucznikiem Stewardem.

Mówiąc to zadzwonił i wydał woźnemu stosowny rozkaz. Po chwili wszedł do biura Klemens Gibier, prowadzony przez więziennego dozorcę.

— Usiądźcie tutaj — rzekł życzliwie Davricourt wskazując starcowi krzesło.

Prawie równocześnie otworzyły się drzwi główne i prowadzony przez dwóch żandarmów, wszedł krokiem pewnym i śmiałym porucznik Steward, kochanek kreolki Ludmiły.

Na odgłos otwierających się drzwi, Klemens Gibier podniósł głowę. Pierwsze wrażenie, jakie się odbiło na jego wynędzniałej twarzy, było zdziwienie, poczem powstał, przenikliwe spojrzenie utkwił w twarzy nowoprzybyłego i zawołał:

— To on! to on! Kramarz wędrowny!

Sędzia Davricourt i Jaime zamienili ze sobą porozumiewające spojrzenia. Próba odniosła pożądany skutek.

— Można odprowadzić oskarżonego Klemensa Gibier — rozkazał sędzia.

Starzec, bez oporu, osłupiały prawie, dał się wyprowadzić ze sali. Na rozkaz sędziego, żandarmi również się oddalili. W pokoju pozostał tylko p. Davricourt, detektyw Jaime i porucznik Steward.

— No i cóż, mój zuchu — odezwał się ironicznie sędzia śledczy — daliśmy się ułowić jak rybka.

— Nie rozumiem słów pana — odparł swobodnie porucznik. Niech mi pan wierzy, że cała ta historia jest wysoce dla mnie komiczną.

— Zechciej pan swoje spostrzeżenia zachować dla siebie — rzekł surowym głosem pan Davricourt — i odpowiedz mi, gdzie poznałeś tego człowieka?

— Ależ panie sędzio, ja tego człowieka widziałem po raz pierwszy.

— Kłamiesz pan! Klemens Gibier pana poznał. Ostrzegam, że bawi się pan w niebezpieczną grę. Niechcesz pan mówić? A więc ja panu wytłumaczę. Pan się z tym człowiekiem spotkałeś 12 czerwca, u...

— Ah! więc jeszcze o to chodzi. Niech się pan sędzia nie trudzi, wiem, co pan ma mi powiedzieć. Chyba pan nie może wymagać odemnie, abym się przyznawał do rzeczy, której nie popełniłem.

— Dlaczego więc pan chciałeś uciekać z kraju?

— Szczególna rzecz! Czy nie mogę mieć osobistego powodu! Wspomniałem przecież temu panu, że jestem dezertorem i jedynie z tego powodu starałem się stąd wyjechać, aby nie wpaść w jakiś konflikt z władzą wojskową. Zdaje się jednak, że jestem ofiarą pomyłki. Może moje podobieństwo do prawdziwie winnego wbił panów wprowadza?

— Jakie nazwisko nosiłeś pan w chwili opuszczenia służby wojskowej?

— Tego nie mogę powiedzieć dla osobistych względów.

— Nazywałeś się pan Valbrequé — ciągnął dalej sędzia. Pan to zamordował męża pani de

Trèves, a potem ją samą podstępnie pozbawiłeś życia.

— Skoro pan sędzia jest tak dobrze poinformowany — odpowiedział zimno oskarżony — nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Zostanie pan przedstawiony osobom, które niegdyś znały pana i których zeznania będą dla pana fatalne! Ostrzegam więc pana raz jeszcze. Porzuć szkodliwą dla siebie taktykę przeczenia wszystkiemu, bo to tylko pogorszy sprawę.

— Dziękuję panu sędziemu za jego radę, ale skorzystać z niej nie mogę — odpowiedział chłodno porucznik Steward, przyczem skłonił się poważnie sędziemu.

Na spokojnej twarzy p. Davricourt odmalowało się silne zniecierpliwienie.

Powstał i otworzył drzwi, wiodące na kurytarz.

— Odprowadzić więźnia — rozkazał ostro.

Po wyjściu porucznika Stewarda, sędzia Davricourt długą chwilę chodził w milczeniu po swojej kancelarii.

— Trudna będzie z nim sprawa — rzekł wkońcu. Ten człowiek do ostatka przeczyć będzie wszystkiemu. Lękam się, czy nie odniesiemy porażki.

— Mam sposób na to, aby bezwiednie przyznał się do wszystkiego — odparł Jaime. Jest to co prawda sposób nielegalny, ale czy w takim wypadku namyślać się trzeba?

— Mów pan — zawołał zdziwiony sędzia.

— Możliwy tego ptaszka zahypnotyzować!

— Zahypnotyzować? Ależ to jest prawie wzbronione! A przytem któżby się tego podjął?

— Ja — rzekł spokojnie detektyw. Znam się cokolwiek na tem, a ten nędznik wydaje się być szczególnie do tego podatnym. Czy nie zauważył pan sędzia jego nerwowych, niespokojnych ruchów?

— Jakże pan myśli to uczynić? Jakim sposobem wydobędziesz od niego zeznanie?

— Zaprowadzę go na miejsce, gdzie zbrodnia dokonana została i rozkażę mu uczynić to, co uczynił w nocy 12 czerwca.

— Ależ to dzieciństwo!

— Tak pan sędzia sądzi? Daj mi pan tylko wolność działania na własną rękę, a przekonam pana, że dojdę do zamierzonego celu.

— A jeżeli on panu ucieknie?

— Oh! panie sędzio! — zawołał z wyrzutem detektyw.

— A więc czyń pan co zechcesz, oddaję więźnia w ręce pana. Oto rozkaz dla dyrektora więzienia, aby nie czynił panu żadnych trudności. Kiedy zamierza pan rozpocząć swoje doświadczenia...

— Za trzy dni. Gdy ręka moja zupełnie się zagoi.

— A więc w czwartek rano oczekuję pana u siebie — rzekł sędzia podając rękę detektywowi.

## ROZDZIAŁ XXI.

## Noc zbrodni.

To, o czym zamierzamy pisać, wydać się może nieprawdopodobnem, lub przesadzonem, jednakże są to rzeczy dawno zbadane przez sławnych lekarzy i uznane za prawdziwe i wiarygodne, choć nie pozbawione pewnej tajemniczości. O hypnetyzmie pisano u nas wiele, a nawet słynny lekarz Charcot, wydał osobną, bardzo wyczerpującą broszurę, udawadniającą, że hypnetyzm w wypadkach nadzwyczajnej nerwowości u chorych, może być przystosowany jako pomoc lecznicza. Wszak głośne są wypadki, że za pomocą sugestji uzdrawiano na pozór nieuleczalnie chorych — chorych z urojenia. Pod wpływem sugestji, człowiek normalny traci nawet świadomość i daje sobą powodować jak nieletnie dziecko. Człowiek zahypnotyzowany zdolny jest dopuścić się najohydniejszej zbrodni, jak również wyjawiać starannie ukrywaną tajemnicę.

Przez kilka dni detektyw Jaime spędzał długie godziny w celi uwięzionego porucznika. Rozmawiał z nim dużo, życzliwie, dając mu do zrozumienia, iż nabiera przekonania o jego niewinności. W ten sposób mógł dokładnie zbadać charakter i usposobienie więźnia i przekonać się o jego nadzwyczajnem przeczeniu nerwowem. Pewnego wieczora drzwi do celi więziennej, zajmowanej przez Stewarda, otworzyły się. Wszło trzech mężczyzn. Jeden z nich przybliżył się do tapczanu, na którym spoczywał więzień i dotknął silnie jego ramienia. Ale Steward się nie poruszył.

— Dobrze idzie — rzekł nieznajomy do swo-

ich towarzyszków. Lekarstwo odniosło pożądany skutek. Dalej do roboty.

Dwóch ludzi uniosło ostrożnie ciągle uśpionego więźnia i złożyło w dorożce, oczekującej przed bramą więzienną. Powóz razem z nieznanymi potoczył się w stronę Fontenay i wioski Robinson. Przed małą oberżą, na drodze, prowadzącej do Czerwonego Stawu, tajemniczy powóz zatrzymał się. W drzwiach oberży stał żandarm.

— Jestem brygadyer Jaime — rzekł jeden z podróżnych, podchodząc do niego. Otrzymałście rozkaz, nieprawdaż? Gdzie jest wasz towarzysz?

— W oberży, panie brygadyerze — ale otóż i on.

Jaime pociągnął na bok obu żandarmów i mówił do nich zaczął szybko:

— Niemamy chwili do stracenia. Jest już godzina 9-ta. Chodzi o rzecz bardzo ważną — znajcie oberżystę Ullmana z oberży pod Złotem strzemiem.

— Tak jest, brygadyerze!

— Trzeba tego człowieka usunąć z jego lokalu, przynajmniej aż do godziny dwunastej — rozumiecie?

— Brygadyerze, cóż z nim zrobić mamy?

— To już jest wasza rzecz. Możecie go do jutra przytrzymać w waszym towarzystwie.

— A mały Lorient?

— To was nie obchodzi. No dalej! Do roboty!

Żandarmi oddalili się, a detektyw Jaime powrócił do towarzyszy, oczekujących na niego przy powozie.

W tej samej chwili we drzwiach gospody stanął właściciel, rosty, barczysty chłop.

— Ah! jesteście przyjacielu — rzekł Jaime. Wiecie, jak zostało między nami umówione. Dom wasz należy do mnie, aż do jutra. Umieście konie w stajni i idźcie spać.

Wkrótce przeniesiono więźnia do małego pokoju, znajdującego się obok głównej sali, a Jaime rozkazał towarzyszącym mu agentom złożyć uśpionego na łóżko.

— Teraz możecie odejść — rzekł detektyw — ale nie oddalajcie się daleko. A ty, Pluck! przywołaj mi zaraz Larpenteura.

Po chwili agent Larpenteur, przebrany za dożkarza, w dużym płaszczu z peleryną i pół cylindrze stał się na rozkaz swojego przełożonego.

— Larpenteur, udasz się do Białego Domku i uprzedzisz Rózię, że o godzinie jedenastej będzie nam potrzebna. Niechże się dobrze przygotuje do odegrania swojej roli. Potem udasz się do oberży pod Złotem Strzemiem i dasz mi znać umówionym znakiem, czy Ullmana już tam niema.

— Dobrze, panie brygadyerze — odpowiedział Larpenteur wychodząc.

Upłynęło pół godziny. Ciemna, chmurna jesien na noc, zapadała powoli. Z nad moczarów Czerwonego Stawu napływały gęste kłęby białej, wilgotnej mgły. Detektyw Jaime, wsparty w otwartem oknie, spoglądał w dal, od czasu do czasu jednak obrzucając bystrem spojrzeniem więźnia, uśpionego na łóżku. Dziesiąta godzina wybiła na wieży pobliskiego kościoła. Równocześnie ostry, donośny świst przedarł powietrze. Detektyw zadął. Zamknął okno, wydobyl z kieszeni małą flaszeczkę z jakimś białawym płynem i podsunął ją pod nos uśpionego. Prawie natychmiast poruszył się tenże i powieki jego drgnęły kilkakrotnie.

— Gdzież jestem? — wyrzekł słabym głosem, oglądając się wokoło.

Jaime popatrzył bystro w oczy mniemanemu porucznikowi Steward.

— Znajdujesz się pan w Robinson — rzekł brutalnie — w tem samym miejscu, gdzie popełniłeś zbrodnię, o którą cię posadzają.

Wrażenie było nadszpiewane. Steward zbliżył się nagle, a po ciele jego przebiegł dreszcz konwulsyjny.

— Dlaczegoż więc mnie pan tu przyprowadziłeś? — zapytał, usiłując nadać głosowi naturalne brzmienie.

— Żeby panu dać możność ucieczki — odrzekł Jaime.

— Pan chyba żartuje?

— Ani myślę; wierzę w pańską niewinność i chcę pana o tem przekonać. Czy pan nie widzi, że mówię z panem zupełnie poważnie?

— W New-Yorku mówiłeś pan także poważnie.

— W New-Yorku niewiadome mi były niektóre rzeczy, o których dowiedziałem się po przyjeździe tutaj i które wykazały moją pomyłkę.

— A więc rzecz jest zupełnie jasna; chcesz